

**Andrzej Domagalski**

Kraków

## **Hybrydy i Teatr Akademicki KUL na początku**

Zarówno Jonasz Kofta, jak i Wojciech Młynarski swoją wieloletnią wspólną przygodę ze sztuką rozpoczęli w stołecznym kabarecie studenckim Hybrydy, który to kabaret, wraz z Janem T. Stanisławskim i Stefanem Friedmannem, współzakładali przed ponad półwieczem. Mistrzowie słowa i piosenki rozpoczęli swoją twórczą drogę w jednym z najstarszych klubów studenckich w Polsce, uchodzącym za artystyczny matecznik. Z kolei wielki mag teatru plastycznego Leszek Mądzik, rozpoczynający swoją przygodę z Melpomeną pod koniec lat 60. minionego wieku, od samego początku swej niezwyklej twórczości pozostaje wierny lubelskiemu środowisku akademickiemu. Jego znana na całym świecie Scena Plastyczna funkcjonowała na początku działalności pod egidą Teatru Akademickiego KUL – po dziś dzień twórca i jego teatr pozostają pod patronatem lubelskiej uczelni.

### **JONASZ KOFTA**

Współtwórca Kabaretu Starszych Panów Jeremi Przybora, w wypowiedzi dla „Rzeczpospolitej” zaliczył tego twórcę, wraz z Agnieszką Osiecką i Wojciechem Młynarskim, do „trójcy wieszczów polskiej piosenki”, dzięki którym powojenna Polska stała się „imperium piosenki na najwyższym poziomie”.

Nieodżałowany artysta – poeta, dramaturg, satyryk, aktor i piosenkarz kabaretowy, a także malarz w jednej osobie. Jedną z najwybitniejszych postaci polskiej sceny poetyckiej. Współzałożyciel kabaretów Hybrydy (1962) i Pod Egidą (1968), przeżył niespełna

46 lat (1942–1988). Urodził się jako Janusz w Mizoczcu na Wołyniu, gdyż jego rodzice musieli uciekać przed Niemcami na wschód, jednak tuż po wojnie powrócili, aby ostatecznie osiedlić się we Wrocławiu. Postanowił zmienić swoje imię na Jonasz, kiedy dowiedział się o żydowskim pochodzeniu swojego ojca. Wtedy też zapowiedział, że będzie mówił o sobie, że jest Żydem, dopóki w Polsce pozostanie choć jeden antysemita.

Podczas studiów w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, w 1962 roku, wspólnie z Adamem Kreczmarem, Janem Pietrzakiem, Janem Tadeuszem Stanisławskim, Stefanem Friedmannem i Wojciechem Młynarskim powołał do życia kabaret Hybrydy, który w 1967 roku został przekształcony w Kabaret Autorów Pod Egidą. Był nie tylko jego współzałożycielem, ale i wykonawcą utworów (1968–1980). Współpracował również z Teatrem Syrena.

Jonasz Kofta, syn germanistki prof. Marii Kofty i szwagier pisarki Krystyny Kofty, współpracował m.in. ze Stefanem Friedmannem (cykle *Dialogi na cztery nogi* i *Fachowcy*) oraz Janem Pietrzakiem (*Duety liryczno-prozaiczne*). Pisał dla „Szpilek” (debiut prasowy w 1966 roku), „Radar”, „Płomyka” i „Itd”, a także wierszowane felietony dla „Polityki”. Od 1964 roku współpracował z Programem III Polskiego Radia. Był autorem kilkuset tekstów piosenek (*Wakacje z blondynką*, *Radość o poranku*, *Jej portret*, *Pamiętajcie o ogrodach*, *Taką cię wymyśliłem*, *Popołudnie* czy *Szary poemat*) i wykonawcą wielu popularnych przebojów. Był ponadto autorem tekstu do wielkiego przeboju, kanonu piosenki aktorskiej, brawurowo zaśpiewanego przez Jerzego Stuhra *Śpiewać każdy może*, którego wykonanie przyniosło aktorowi zwycięstwo na festiwalu opolskim. Piosenka z tekstem Kofty – *Kwiat jednej nocy* – zaśpiewana przez Alibabki na 7. Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu (1969) zdobyła nagrodę KRiTV. Zresztą Kofta, częstokroć z przyczepioną czerwoną kokardką do ubrania albo w fikuśnym kapeluszu na głowie, pojawiał się na festiwalu wielokrotnie, zdobywając niezmiennie wiele nagród. Wystąpił również w koncercie *Nastroje – nas troje* zorganizowanym w 1977 roku i poświęconym twórczości jego, Agnieszki Osieckiej i Wojciecha Młynarskiego. Jednym z jego najbardziej znanych utworów jest piosenka *Jej portret* napisana do muzyki Włodzimierza Nahornego. Tekst powstał m.in. dzięki jego żonie Jadze, która na antenie radiowej Dwójki wspominała w 2011 roku:

– Tytuł chyba przeszkadzał Jonaszowi. Męczył się strasznie, pisząc do gotowej muzyki Włodzimierza Nahornego. Gdyby nie tytuł, uporałby się z tym piorunem. I wtedy, gdy Jonasz miał już się poddać, zadałam mu pytanie: „A czy ty wiesz, jaka ja jestem?”

Kolejnym znanym utworem artysty jest *Radość o poranku*. Tekst zaczynający się słowami: „Jak dobrze wstać skoro świt...”, to swoisty żart Kofty, który podobno nigdy nie wstawał przed jedenastą. Artysta kilkakrotnie przeproszał publicznie za ten ponury żart, natomiast publiczne radio przez dość długi okres emitowało ten utwór codziennie o piątej rano, katując niemiłosiernie radiosłuchaczy. Kofta miał także za sobą krótką karierę aktorską. Dwukrotnie pojawiał się na dużym ekranie – po raz pierwszy zagrał epizod w filmie Leonarda Buczkowskiego *Marysia i Napoleon* w 1966 roku. Można go było także zobaczyć w horrorze Grzegorza Warchoła z 1985 roku *Lubię nietoperze*. Ponadto, wspólnie z Feridunem Erolem, był autorem scenariusza do filmu *Zawodowcy*.

Był uznawany za jednego z najwybitniejszych i najważniejszych twórców kultywujących formę piosenki poetyckiej, obok Jeremiego Przybory, Agnieszki Osieckiej czy Wojciecha Młynarskiego. Nagrodę Grand Prix jego imienia przyznaje jury Ogólnopolskiego Przeglądu Piosenki Autorskiej. Wielokrotnie uczestniczył w festiwalach opolskich – jako autor tekstów, wykonawca, kierownik literacki, juror. Pisał libretta do musicali, m.in. *Kompot*, *Wielki świat* i *W zielonym Singapurze*, oraz dramaty, m.in. *Wątroba faraona*, *Wojna chłopska* (1979). Wspólnie ze Stefanem Friedmannem wydał w 1978 roku utwory satyryczne: *Dialogi na cztery nogi* i *Fachowcy*, a z Andrzejem Dudzińskim w 1982 roku *Księżę zdziwień*. Na podstawie jego twórczości powstały widowiska telewizyjne. Pisał wiersze, dramaty, widowiska muzyczne, skecze. Chciał być następcą Stanisława Jerzego Leca, miał nawet zeszyt, w którym notował swoje aforyzmy.

– Kofta łączył rzeczy dla większości nie do połączenia: lirykę z humorem – mówi satyryk Artur Andrus, dziennikarz radiowej Trójki. – Był mistrzem we wszystkich gatunkach.

Wspominając Jonasza Koftę, pisarka Krystyna Kofta, żona brata poety Mirosława Kofty, powiedziała:

– Jonasz był bardzo zdolnym człowiekiem i żałuję, że żył tak krótko, i nie powiedział tego, co mógłby nam jeszcze powiedzieć. Ale została po nim bogata i niezwykle różnorodna twórczość. Był szczodrym

człowiekiem, obdarzającym ludzi przyjaźnią i serdecznym zainteresowaniem. Błyskotliwym i wesołym uczestnikiem spotkań towarzyskich. Był wrażliwym poetą i zarazem duszą towarzystwa. Wszyscy pamiętamy jego „Do łezki łezka, aż będę niebieska” czy „Małe jasne to jest piwo. Duże jasne to jest słońce”. Uważam, że gdyby Jonasz żył dłużej, gdyby dojrzywał razem z czasami, które nadeszły, to dałby nam jeszcze wiele powodów do refleksji i wzruszeń.

Bezspornie był gwiazdą, najprawdziwszą, świecącą do dzisiaj – żałować tylko należy, iż stanowczo za krótko. *Pamiętajcie o ogrodach* – śpiewał. Ludzie nie zapomnieli o nim, pamiętają... A dla Wojciecha Młynarskiego był on niepowtarzalnym poetą: „On miał taki rodzaj talentu, że czego się dotknął, to się zamieniało w poezję. Pewnie tak miał rękę ułożoną”.

Zmarł w wyniku powikłań po zakrztuszeniu się podczas posiłku. Wcześniej cierpiał na chorobę nowotworową, którą udało mu się pokonać.

– Tak naprawdę Jonasz – pisze w swoim *Atlasie towarzyskim* Janusz Atlas – zmarł w „Spatifie”. Umówił się ze znajomą dziennikareczką na wywiad, zamówił golonkę i mięso utknęło w spalonym kobaltem gardle. Stracił przytomność, zrobił się afera, a pogotowie przyjechało dopiero po trzech kwadransach. Już faktycznie bez życia przeleżał w szpitalu na Banacha pod kroplówką dwa miesiące.

Zmarły stanowczo przedwcześnie „rozchochraną blondas o wielkich, niebieskich oczach” (słowa Jana Tadeusza Stanisławskiego), jest m.in. autorem nad wyraz mądrych słów: „Ziemia jest wielką jabłonią i starczy owoców i cienia dla wszystkich, którzy się pod nią schronią” – piosenki śpiewanej przez Halinę Frąckowiak.

Wspomina Józef Romek, swego czasu m.in. artysta Kabaretu Bohdana Smolenia:

– W 1986 roku znakomity reżyser filmowo-telewizyjny, a przy okazji dyrektor Estrady Krakowskiej Włodzimierz Gawroński, wpadł na pomysł stworzenia kwartetu męskiego wokalnego – coś na wzór „Chóru Czejanda”. Zwrócił się z tym pomysłem do mnie. Ja przedstawiłem swoje oczekiwania w tym pomysle i „Gawron” wszystko zaakceptował: – 1. Wiązanka przedwojennych tang, 2. Wiązanka pieśni włoskich, 3. „Zakochany złodziej”. Nie chciałem tekstów oryginalnych, więc poprosiłem Jonasza o napisanie tekstów coverowych. Włodek zatrudnił Jonasza za dobre pieniądze, a ja czekałem na efekty.

Mija jeden miesiąc „pracy” Jonasza w Krakowie, potem drugi, a tu nic. Janusz Butrym porobił orkiestrówki, ja aranżacje wokalne, a tu nic. Bez przerwy wydzwaniam, otrzymuję zapewnienia, że teksty są dopieszczane.

W końcu zacząłem się w Hotelu Francuskim rano, żeby autora przydybać jak będzie schodził na śniadanie. Jest Jonasz Kofta! Na mój widok – dobrze że jesteś, zaraz Ci dam rękopisy. Ja patrzę, a Jonasz pisze na serwetce śniadaniowej jakiś tekst i mówi: może być tytuł „W tę jedną noc”, bo w tych tangach będzie dużo o Wisłockiej, a ona jest w tym klimacie jest dobra. Czytam i śmieję się – innym dał los pieniędzy trzos, pod szkłem hektarów siedem, nam nie dał nic, lecz da się żyć, bo tapczan mam w M jeden. W 15 minut napisał trzy zwrotki. Tak powstała wiązanka „W tę jedną noc”. Następna „Bel canto” w tym samym dniu, tylko po jajecznicy. A po piwku na śniadanie „Zakochany złodziej”. Nazwę zespołu „Crazy Revelers” – też wymyślił Jonasz, ale w tej sprawie zadzwonił z Warszawy. Jak mu nagrania przesłałem, to zadzwonił do mnie o 3 nad ranem z uwielbieniem dla mojej pracy, mówiąc przy tym, że nie zasłużył na takie efekty, a na koniec – posłuchaj – do mnie – taki człowiek bez nazwiska jak Ty, a tak dopierdala na świecie artystycznym. Zastanawiałem się nad genialnością Jonasza. Łatwość w pisaniu – niewątpliwie świetny słuch muzyczny, zresztą kapitalnie śpiewał. Wywiązywał się z zadań pod ścianą, a przy tym uroczy, przeinteligentny, zawsze fair grający „kolega z branży”. Są ludzie, których się nie zastąpi!

– Jonasz Kofta, satyryk o duszy liryka – przytacza anegdotę Janusz R. Kowalczyk w *Wracając do moich Baranów* – znany był z błyskotliwych ripost. W Piwnicy pod Baranami wysłuchał monologu gościnnie występującego artysty – o kochance, która szczególną namiętnością darzyła jego szyję, a na imię miała... Gilotyna. Na pytanie Skrzyneckiego o wrażenia, Kofta odparł ze stoickim spokojem: „Wiesz, Piotrze, mnie gilotyna zawsze kojarzy się z żelatyną. Bo zarówno jedna, jak i druga ścina. A w efekcie zawsze mamy zimne nóżki”. Koncept przyjęty został z aplauzem, a pochodził z książki *Dialogi na cztery nogi. Fachowcy*, zawierającej przekomarzanki ze Stefanem Friedmannem.

Maria Czubaszek w *Nienachalnej z urody* przytacza inną anegdotę:

– Jonasza ceniłam za poczucie humoru. Jak urodził mu się synek, to nieustannie mnie namawiał, żebyśmy koniecznie wpadła zobaczyć

małego. W końcu poszłam, chociaż długo się ociągałam, bo dzieci nie lubię. Jonasz siedział na łóżku i trzymał małego na rękach. Patrzę na dzieciaka, a on ma narysowane, chyba węglem, wąsy. – Co ty zrobiłeś? – pytam. – A, bo zaraz wpadnie Stefan Friedmann i chciałem mu pokazać, że urodziło mi się dziecko od razu z wąsami – odpowiedział. Jonasz tworzył wtedy ze Stefanem „Dialogi na cztery nogi”; przyjaźnili się nie tylko zawodowo.

## LESZEK MĄDZIK

Postać iście renesansowa w polskiej sztuce. Światowej sławy scenograf i reżyser teatralny, malarz, fotograf, profesor sztuk plastycznych. Związany od początku swej twórczości z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim i kulturą studencką, gdzie początkowo jego Scena Plastyczna, znany na całym świecie teatr, działała pod skrzydłami Teatru Akademickiego tejże uczelni.

W czasach mojej kilkuletniej działalności w kulturze studenckiej – działo to się w latach 70. minionego stulecia – Polskę podbijały teatry akademickie, żeby tylko wspomnieć STU, Teatry Ósmego Dnia, 77 czy też Kalambur i Akademię Ruchu, a przeglądów i konkursów, gdzie oceniano ich spektakle w naszym kraju, była cała moc. Organizując w krakowskiej Rotundzie trzy pierwsze edycje Krakowskich Reminiscencji Teatralnych, byłem po prostu świadkiem iście rewolucyjnych zmian w teatrze. W kwietniu 1975 roku, dwa miesiące po pierwszych Reminiscencjach, w ramach Salonu Melpomeny, Scena Plastyczna KUL, wtedy jeszcze pod egidą Teatru Akademickiego, zaprezentowała *Ikara*, i to był pierwszy mój kontakt z lubelską sceną. Natomiast w listopadzie 1977 roku w Rotundzie przyszedł czas na głośny już i to na całym świecie *Zielnik*. Nie wolno było wówczas zawieszać plakatów na zewnątrz klubu. Można było takowe powiesić jedynie w środku oraz dać ponadto ogłoszenie w studenckim radiowęźle Alma Radio.

W przypadku *Zielnika* była zgoda na trzy przedstawienia, po których miała się odbyć dyskusja w dolnej sali z twórcami spektaklu. Rozpoczął się zatem o godz. 17 maraton teatralny, który planowo powinien zakończyć się przed północą. Leszek Mądzik zaprezentował tego wieczoru spektakl nawiązujący do rzeźb Aliny Szapocznikow, w sumie grupa wystąpiła sześć razy, a dyskusja z udziałem tłumów miłośników Melpomeny kończyła się tuż po szóstej rano. Wpis ze

strony Sceny do księgi pamiątkowej Rotundy był więc zasadny: „Serdecznie dziękujemy za miłe przyjęcie i umożliwienie nam prezentacji spektaklu »Zielnik«, który był dowodem tego, że są pewne plastyczne »sprawy«, o które warto walczyć”. Oglądający przedstawienie znany kompozytor krakowski Zygmunt Konieczny był pod wielkim wrażeniem wizji teatru bez aktora Leszka Mądzika, rezygnującego ze słowa mówionego na rzecz środków wizualnych i dźwięku/muzyki.

– Oczarował mnie po prostu – wspominał po latach krakowski kompozytor. – Było to niezwykle przeżycie, a rzeźby Szapocznikow były przepięknie wykorzystane przez Mądzika!

Nazajutrz, kilka godzin po nocnym maratonie, spotkaliśmy się – sympatyczny lubelski gość oraz moja skromna osoba – w kawiarni Jama Michalika z Koniecznym. Występy w Rotundzie i kawa w Jamie zaowocowały niebawem – piwniczny kompozytor napisał bowiem muzykę do kolejnego przedstawienia lubelskiej sceny *Wędrownie*, zrealizowanego w 1980 roku.

Cofnijmy się do początków artystycznej drogi Mądzika, urodzonego w lutym 1945 roku w Bartoszowinach koło Kielc. Po ukończeniu Liceum Plastycznego w Kielcach (1965), trzykrotnie zdawał bez powodzenia na Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie, Krakowie i Poznaniu. Od 1966 roku studiował na Wydziale Historii Sztuki Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Tam też rozpoczął swoją przygodę z teatrem. Na stronie culture.pl, w artykule Janusza R. Kowalczyka, Leszek Mądzik wspomina lubelskie początki:

(...) Działal tam już Teatr Akademicki, który od 1951 roku wystawiał pierwsze po wojnie *Dziady*, sztuki Bernanosa, Claudela, Eliota, Brandstaettera. Przyszedłem na KUL studiować historię sztuki. Czułem jednak przemożną potrzebę podzielenia się z innymi moim malarstwem. Obrazy te zobaczyła Irena Byrska, która przystępowała właśnie do realizacji *Wandy* Norwida. Spodobał jej się ich klimat i powiedziała: „Znajdźcie mi tego człowieka”. Zostałem scenografem. Wkrótce spotkałem też Mieczysława Kotlarczyka i pracowałem z nim przy przedstawieniu *Amor Divinus – Tryptyk Staropolski*.

A potem nastał czas na realizacje jego wielkich artystycznych pomysłów za sprawą Sceny Plastycznej KUL.

Z Leszkiem Mądzikiem – podpieram się notatkami z tamtych lat – spotkałem się po występach jego sceny w 1975 roku, w połowie listopada roku następnego w Lublinie, w dawnej auli KUL. Odbywały

się wówczas I Konfrontacje Młodego Teatru, kontynuujące tradycje Studenckiej Wiosny Teatralnej (1966–1974). Impreza ta, gwoli przypomnienia, funkcjonowała do roku 1981. Lublin we wspomnianych latach mógł się pochwalić znanymi w kraju studenckimi scenami, oprócz Sceny Plastycznej było przecież chociażby Provisorium Janusza Opryńskiego, Scena 6 Henryka Kowalczyka, Grupa Chwilowa Krzysztofa Borowca czy też Gong 2 Andrzeja Rozhina. Mądzik pytany nie tak dawno o tamte lata mówi krótko i treściwie: „Lublin był wtedy zagłębiem teatralnym!”. Prezentowany w konkursie *Zielnik* jury m.in. ze Zdzisławem Heydukim, szefem łódzkiego teatru 77, teoretyk sztuki Aldoną Jawłowską i krytykiem teatralnym Tadeuszem Nyczkiem w składzie bardzo wysoko oceniło za „dojrzałość proponowanej wizji artystycznej”.

Leszek Mądzik wystawiał swoje spektakle w Lublinie zawsze w auli KUL przy Alejach Raclawickich.

– Ja zawsze wystawiałem swoje spektakle w sali nazywanej przez nas tunelową, pełną zakamarków, taką podłużną w kształcie – tłumaczył mi niedawno twórca Sceny. W tradycyjnym pudełkowym teatrze – jak uświadamiał mi – w spektaklach lubelskich dominuje przestrzeń w większym stopniu rozciągająca się w szerz niż w głąb. Mądzik wykorzystywał w naturalny układ starej auli KUL-u, budując swoiste tunele, w które wkomponowywał swoje przedstawienia: bezsłowne, z dominującymi obrazami plastycznymi, dźwiękiem względnie muzyką. Zafascynowany twórczością Tadeusza Kantora, Jerzego Grotowskiego, Józefa Szajny poszedł swoją drogą – jak podkreślał w rozmowie ze mną – zajmując się nade wszystko dramatem ludzkiej osobowości.

Wówczas też poznałem jego żonę Alinę z domu Brzeską, wychowaną na krakowskim Salwatorze, która przez lata występowała w lubelskim teatrze – w tych najbardziej znanych spektaklach z lat 70.: *Wieczera*, *Ikar*, *Wędrownie*, *Wilgotne*. Oboje poznali się na studiach w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

Minęło sporo lat i oto w lipcu 2018 roku zawędrowałem do Krakowa do Parku im. Henryka Jordana, gdzie w ramach organizowanego przez Jurka Zonia, szefa Teatru KTO Międzynarodowego Festiwalu Teatrów Ulicznych Leszek Mądzik zaprezentował plenerowy autorski spektakl *Symbioza*, rozpoczynający się po północy, z muzyką Pawła Odorowicza i z udziałem aktorów Warszawskiego



Centrum Pantomimy. Spektakl zrealizowany z poślizgiem i przerwą. Nazajutrz po powrocie do domu przed dziesiątą rano dzwoni artysta, Honorowy Obywatel Kielc, który powrócił już, jak się okazało, do Lublina, i przeprasza, iż nie było nam dane porozmawiać po zakończonym przedstawieniu. Wyjaśniając i przeprasząc jednocześnie za przerwę w spektaklu:

– Nagle w Krakowie zabrakło energii. Muzyka umilkła, zapadła cisza, wszystko zgasło. Do pewnego momentu widzowie myśleli, że to jest przeze mnie kontrolowane. Ale kiedy minęło 15 minut, pojawiło się zaniepokojenie. Wtedy po raz pierwszy ja z ciemności zacząłem opowiadać, co się może zdarzyć, że może nie będzie dane widzom obejrzeć do końca spektaklu. I wtedy nagle nastąpił cud, jak na ruszającej taśmie coś w głośnikach zafurczało, zachrobotowało – i spektakl ruszył dalej. Zresztą sam doświadczyłeś tego wszystkiego...

Muzykę do przedstawień Lubelskiego Maga pisali tak znakomici twórcy, jak znany z występów w Teatrze Ósmego Dnia, kierowanym przez Lecha Raczaka Jan A.P. Kaczmarek, zresztą serdeczny przyjaciel Mądzika, jak również wspomniany Zygmunt Konieczny, Przemysław Gintrowski, Stanisław Radwan, Jacek Ostaszewski, Jan Kanty Pawluśkiewicz.

Twórca Sceny Plastycznej w przygotowywanej do druku książce *W kręgu Rotundy* tak wspominał owe lata:

– Dla Sceny Plastycznej KUL czas ten nie był łatwy. Miejscem, gdzie tworzyła swoje spektakle, był Katolicki Uniwersytet Lubelski i ten fakt sprawiał cenzurze kłopot, rezultatem czego nieraz była niemożność bycia ze swoimi spektaklami poza Uniwersytetem. Tym bardziej cenne były zaproszenia dla zespołu przez organizatorów festiwalu, żeby wspomnieć Reminiscencje Teatralne w Krakowie. Pomimo kłopotów, jakie mogli mieć i mieli z tego powodu. Zaproszenie Andrzeja Domagalskiego dla teatru Scena Plastyczna KUL jest tego najlepszym przykładem. To tutaj 4 i 5 listopada 1977 roku dotarłem z *Zielnikiem*, będącym hołdem złożonym życiu i twórczości Aliny Szapocznikow. Zaproszenie od Andrzeja Domagalskiego pozwoliło na spotkanie z widownią studencką Krakowa. Atmosfera tamtych lat, której rezultatem były liczne występy alternatywnych teatrów studenckich, była wyjątkowa. Tak twórcy spektakli, jak i widownia byli sobie potrzebni. To był pewien azyl, jaki w tamtej rzeczywistości można było stworzyć i zaistnieć. Klub Rotunda rokrocznie konsekwentnie

swoją formułę Festiwalu o nazwie Reminiscencje realizował. Jeszcze te rozmowy po każdym spektaklu dopełniały ekspresję i odczucia przedstawionych bezsłownych scen *Zielnika*. Złota dekada Rotundy w latach siedemdziesiątych utrwaliła te zjawiska teatru studenckiego, które do dzisiaj pozostają mi w pamięci.

Skupiłem się na teatralnym wcieleniu Leszka Mądzika, który ma zapewnione osobne rozdziały zarówno w historii teatru, jak i plastyki. Założyciel i szef Sceny Plastycznej KUL, działającej od 1969 roku, jest postacią bowiem renesansową. Jest autorem pięknych plakatów i grafiki książkowej, jak i równie fascynujących fotografii, jednym z najwszechstronniejszych polskich twórców, znanym w świecie z sugestywnego i niepodrabialnego stylu. Ze swoimi autorskimi przedstawieniami brał udział w kilkudziesięciu międzynarodowych festiwalach teatralnych i wystawach. Został laureatem wielu prestiżowych nagród. Jest także autorem scenografii na scenach Polski, Portugalii, Francji i Niemiec. Prowadził zajęcia ze studentami i wystawiał z nimi widowiska na zaproszenie uniwersytetów i szkół artystycznych, m.in. w Helsinkach, Berlinie, Amsterdamie, Waszyngtonie, San Francisco, Hamburgu, Lyonie i Pradze.

Ceniony krytyk teatralny dr Krzysztof Miklaszewski już na początku istnienia Sceny Plastycznej, nie miał wątpliwości, iż „sztuka Leszka Mądzika jest prawdziwym brylantem”. Doskonale wiedział co mówi...

## WOJCIECH MŁYNARSKI

Postać wyjątkowa w polskiej rozrywce, artysta, który ma już trwale miejsce w encyklopedii naszej rodzimej sztuki. Wybitny tekściarz, poeta, autor ponad dwóch tysięcy piosenek, reżyser i wykonawca piosenki autorskiej, niezwyklej miary satyryk, autor librett, tłumacz, znany przede wszystkim z autorskich recitali. Niewątpliwie Księżę piosenki niebanalnej i niepowtarzalnej.

Wojciech Młynarski (rocznik 1941) był absolwentem Liceum Ogólnokształcącego im. Tomasza Zana w Pruszkowie oraz polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim (1963). Na studiach („byłem nazywany na studiach Pszczół” – opowiada artysta) dostał nawet od prof. Stefana Żółkiewskiego, u którego pisał dyplom z Witkacego, propozycję asystentury, zrezygnował jednak z kariery naukowej,

wybierając „lekką muzę”. W 1962 roku debiutował w klubie studenckim Hybrydy – w kabarecie i teatrze studenckim o tej samej nazwie – jako autor tekstów satyrycznych. Dwa programy *Radosna gęba stabilizacji* (1962) i powstały rok później program *Ludzie to kupią*, z udziałem m.in. Stefana Friedmanna, stanowiły oficjalny artystyczny i reżyserski debiut Młynarskiego

Zadebiutował piosenką *Po prostu wyjedź w Bieszczady*. Od 1963 roku sam wykonywał piosenki, jego pierwszym wielkim przebojem była *Niedziela na Głównym*, nawiązująca do *Dimanche à Orly* Gilberta Bécaud. Od połowy lat 60. ubiegłego stulecia współpracował, nie licząc wcześniejszych Hybryd, z innymi słynnymi warszawskimi kabaretami (Pod Papugami, Dudek, Owca i Dreszczowiec). Utwory z tego okresu to m.in.: *W Polskę idziemy*, *Po prostu wyjedź w Bieszczady*, *Ludzie to kupią*, *W co się bawić*. Pracował również w telewizyjnej redakcji rozrywki, gdzie stworzył wówczas cykl *Porady sercowe*, a w nim utwór *Polska miłość*. W latach 70. zaczął pisać większe formy, zwłaszcza libretta operowe i musicalowe: *Henryk VI na łowach*, *Cień*, *Awantura w Recco*. Autor przekładów piosenek z musicali: *Kabaret*, *Jesus Christ Superstar* i *Chicago*, na scenie Teatru Ateneum realizował również programy autorskie poświęcone wybitnym artystom i twórcom, m.in.: Brelowi, Hemarowi, Ordonównie oraz Wysockiemu. Za swoje utwory był wielokrotnie nagradzany, m.in. na Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu. Jest autorem tekstów piosenek wykonywanych przez najświetniejszych wokalistów polskiej sceny.

– W piosence wywód myślowy musi być absolutnie logiczny. Taką radę usłyszałem kiedyś od Jerzego Jurandota. Staram się jej trzymać! – tłumaczył przed laty Wojciech Młynarski. Uznawany jest za twórcę nowej formy artystycznej – tzw. felietonów śpiewanych. Sam o sobie w jednym z wywiadów mówił:

– W tym, co robię, staram się być przyzwoitym tekściarzem – rzemieślnikiem, a swoją profesję nazywam „drobną wytwórczością piosenkarską”. Pytany, czy uważa się za piosenkarza czy poetę, odpowiadał: Przede wszystkim jestem autorem tekstów, wykonawstwo ich traktuję jako coś nierozdzielalnego z moją twórczością. Wykonywanie piosenek traktuję jako swego rodzaju trybunę, z której teksty mogę wygłaszać.

Innego zdania jest ceniony aktor Wiktor Zborowski, który wielokrotnie wykonywał jego piosenki na scenie: „Młynarski jest

geniuszem. Sam nazywa się tekściarzem, ale tak naprawdę jest wybitnym poetą, nikt nie potrafił tak dogłębnie sięgnąć do naszej rzeczywistości i opisać jej”.

Artysta po upływie kilku lat mówił:

– Uważam się za śpiewającego publicystę, a nawet felietonistę, a w wywiadzie dla „Newsweeka” z 2011 roku, dodawał: Niektóre moje teksty, począwszy od *Polskiej miłości*, otarły się o poezję. Wiadomo, że poetą się bywa, więc ja od czasu do czasu poetą w piosence bywałem. Jednak nie w taki sposób jak Jonasz Kofta.

Był jednak czas, kiedy piosenki Młynarskiego spotykały się z krytyką, tak było chociażby z wielkim przebojem *Niedziela na Głównym*, napisanym w 1964 roku, do którego muzykę z dnia na dzień przygotował Jacek Szczygieł. Piosenka ta, o czym już była mowa, nawiązywała do hitu Gilberta Becaud *Dimanche à Orly*. Krytyk muzyczny Dariusz Michalski nie miał wątpliwości, iż jest to wciąż „aktualny portret narodowej nostalgii za światowym życiem”: – Młynarski zaśpiewał czysto, dowcipnie, wypowiadając dworcowy komunikat głosem późniejszego Żorzyka.

Przekonywano go jednakże w tym okresie, iż nie powinien śpiewać. Artysta wspominał:

– Mówiono mi: Teksty pan pisze ciekawe, ale wykonawcy z pana nie będzie, bo ma pan marną dykcję. I dopiero *Niedziela na Głównym* zwróciła na mnie uwagę jako na wykonawcę. Stało to się za sprawą Kazimierza Rudzkiego. To właśnie profesor warszawskiej szkoły teatralnej, uczący wykonywania piosenek w uczelni, powiedział Młynarskiemu: „Panie Wojciechu, ma pan zawsze śpiewać swoje piosenki sam. Bo to wtedy ma właściwą i prawidłową wymowę”. On mnie przekonał wtedy do utworów o charakterze osobistym.

Przez całe dziesięciolecia Wojciech Młynarski pisał znakomite teksty, m.in. dla swego przyjaciela Wiesława Gołasa (nieśmiertelne *W Polskę idziemy*), Alicji Majewskiej (*Jeszcze się tam żagiel bieli*), Skaldów (*Wszystko mi mówi, że mnie ktoś pokochał*), Ewy Bem (*Moje serce to jest muzyk*), Edyty Geppert (*Och, życie, kocham cię nad życie*), Zbigniewa Wodeckiego (*Lubię wracać tam, gdzie byłem*), Hanny Banaszak (*Mam ochotę na chwileczkę zapomnienia*), Michała Bajora (*Ogrzej mnie*). Sam śpiewał m.in.: *Jesteśmy na wczasach*, *Niedziela na Głównym*, *Przyjdzie walec i wyrówna*, *Nie ma jak u mamy*, *Jeszcze w zielone gramy* czy też *Och, ty w życiu!* Przez całe lata

uważnie śledził naszą polityczną rzeczywistość i z niebywałą ironią ją komentował. O swojej słynnej piosence *Róbmy swoje* Młynarski mówił w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”:

– Miałem rozmowę o niej z prominentem, który mi tłumaczył, że w *Róbmy swoje* nawołuję do zmiany ustroju. Mimo że nigdzie nie jest to tam napisane, on twierdził, że jeżeli Polacy mówią „róbmy swoje”, to znaczy, że chcą zmienić ustrój socjalistyczny na inny.

Andrzej Poniedziałki, namaszczony przez Młynarskiego na swego następcę w 1978 roku, mówi wprost: „Wojciech Młynarski jest dla mnie niedościgłym mistrzem satyry”, dodając w artykule, zamieszczonym na łamach „Angory”: „Udało mi się żyć w czasach w których żył i tworzył właśnie Młynarski. Tacy ludzie rodzą się raz na epokę. Wraz z ich odejściem kończy się i ta epoka”.

W podobnym tonie ocenia artystę Rafał Kmita, twórca znanej grupy kabaretowej: „Godzinami można i należy słuchać jego piosenek, czy to w jego wykonaniu, czy też innych artystów. Nie ukrywam, że to, co zrobił Młynarski w naszym kabarecie, jest jedyne i niepowtarzalne!”.

Regułą niepisana jest, iż piosenki Młynarskiego powstawały z inspiracji autentycznymi wydarzeniami. Artysta w *Dookoła Wojtek* opowiada m.in. o genezie szlagieru *Jesteśmy na wczasach*:

– Jeszcze nie pisałem piosenek, kiedy już jeździłem na takie wczasy. To były czasy FWP [Funduszu Wczasów Pracowniczych – AD], który stał się symbolem tamtejszej rzeczywistości. I widziałem, jak na kawiarnianym dancingu akurat nie basista, tylko perkusista miał przed sobą specjalny statyw z zainstalowanym mikrofonem, podsuwał go sobie i w odpowiednim momencie zapowiadał: „Teraz dla sympatycznego pana, powiedzmy Waldka, od towarzystwa takiego a takiego – utwór taki a taki (...)”. To mi się wydało zabawne, zapamiętałem tę scenę i potem przeniósłem do piosenki, trochę ją rozbudowując.

Cała Polska powtarzała następnie za Młynarskim słowa nieszczęśliwie zakochanego basisty z wczasowej orkiestry: „Dla sympatycznej panny Krysi/z turnusu trzeciego od niewątpliwie sympatycznego/pana Waldka – Pucio-Pucio...”. Wojciech Młynarski z mistrzostwem brał różne powiedzonka podsluchane chociażby w barze mlecznym, tramwaju, pod budką z piwem i mieszał je ze sformułowaniami z dziedziny kultury wysokiej, uderzającymi elegancją.

– Niektórzy śmiali się ze mnie, że przenoszę miłość do baru mlecznego, do biurowej stołówki, że do lirycznej historii wsadzam

powiedzonka typu „bynajmniej”, albo „och, ty w życiu” (...). Sta-  
rałem się pokazać ich śmieszności, ale przede wszystkim – ich czło-  
wieczeństwo. Pisałem więc o tym, że uczucie jest piękne, niezależnie  
od tego, czy rzecz dzieje się w najwspanialszym jesiennym plenerze,  
czy nad miską zupy kartoflanej – tłumaczył w jednym z wywiadów  
prasowych na początku tego stulecia. Dodając przy okazji innego  
wywiadu:

– Byłem – nawet i dzisiaj jestem – dość byстрыm obserwatorem,  
miałem oczy dookoła głowy i gąbkę w każdym uchu, więc tę rze-  
czywistość, która mnie otaczała, po prostu chłonałem, obserwowa-  
łem, opisywałem. Prowadziłem wtedy zeszyty, w których notowa-  
łem skrętnie wszystko, co mi się może przydać, jakieś sytuacje,  
jakichś typów, jakieś zwroty. Pewnego razu w tramwaju usłyszałem  
od jakichś jegomościów powiedzonko: „Och, ty w życiu” – wyraża-  
jące podziw, zdumienie, szacunek. I użyłem go w piosence. Kiedyś  
po koncercie stałem w towarzystwie Ireny Santor – podszedł do niej  
jegomość i mówi tak: „Pani Irenko, jestem od dawna pani wybitnym  
ulubieńcem”. Zapisałem to i zrobiłem piosenkę (*Najpiękniejszy list  
miłosny*), zaczynającą się od słów: „Pisze do pani – trzebaż więcej?/  
Pisze do pani z tremom wielkom,/bo jestem pani ulubieńcem,/a pani  
mojom wielbicielkom (...)”. Trafiły one następnie do skarbnicy  
rodzimych powiedzeń. Polska mówiła Młynarskim.

Skrupulatny biograf Młynarskiego Dariusz Michalski, opisując  
perypetie artysty z cenzurą, wzmiankuje m.in. w *Dookoła Wojtek*:

– Na swoim recitalu w październiku 1990 roku Młynarski przypo-  
mniał i skomentował piosenkę *Lubię wrony*, którą dwadzieścia trzy  
lata wcześniej napisał razem z Jerzym Wasowskim. „(...) Gdy na  
polu ze śniegiem wiatr wieje,/Żadna wrona przez chwilę nie kryje./  
Że dlatego na zimę zostają,/Bo źle fruwają,/Ale wrona czy młoda, czy  
stara,/Się do tego dorabiać nie stara/Manifestów ani ideologii,/I to ją  
zdobi (...)”. Koncertowy komentarz autora-wykonawcy: „Napisał do  
mnie profesor ornitologii: »Jest pan w błędzie, ponieważ te nasze pol-  
skie wrony na zimę odlatują na Węgry. A do nas przylatują wrony ze  
Związku Radzieckiego«. Mnie ta wiadomość szalenie zainteresowała  
i postanowiłem, że każdorazowo będę ją podawał po odśpiewaniu tej  
piosenki. Ale musiałem tę informację ocenzurować. Cenzor na nią  
popatrzył i powiada: »Proszę pana, takich wiadomości ujawniać nie  
wolno«. To był rok 1968 (...)”.

– Do piosenek, które nazywam prywatnymi, osobistymi, rodzinnymi, zaliczam *Naszych matek maleńkie mieszkanka*, które napisałem w 1985 roku. – opowiadał w *Dookoła Wojtek* artysta – Jest dedykowana mojej Mamie [Magdalenie – AD]. Bardzo liryczna, opowiada, że matki czekają na swych „królewiczów, /zagubionych po świecie synów. I ma bardzo gorzką puentę – że „każda matka łzę jasną uroni, /drzwi otworzy niezgrabnie i prędko./Syn – królewicz przybył szóstką koni?/Nie, to tylko pan listonosz z rentą”. To piosenka opisująca moją rzeczywistość, jakiś kawałek mojego życia. I moją Mamę w maleńkim mieszkanku (w Warszawie). Mama знаła tę piosenkę; to, że ją napisałem, wcale jej nie zaskoczyło. Nie była zdziwiona, nie pytała, dlaczego ją napisałem, ale... się nie uśmiechnęła.

Pełny dorobek Młynarskiego – dane Dariusza Michalskiego z roku 2008 – dla teatru i telewizji: 18 librett i scenariuszy musicali, oper, operetek, bajek muzycznych i przedstawień oraz 17 spektakli, do których napisał piosenki. A także autorstwo pięciu widowisk muzycznych, przygotowanych specjalnie z myślą o teatrze Ateneum. Jak również – ciekawostka – skomponował muzykę do sześciu swoich piosenek m.in. *Podchodzą mnie wolne numery* czy też *Fruwa twoja marynara*. „Mnie do fortepianu ciągnęło od dzieciństwa, ale grać nie umiem” – wyjaśnia twórca. Mistrzem był dlań François Beranger, którego utwory były „po prostu mistrzowskie”. A kompozytor Włodzimierz Korcz wyjaśnia:

– Wojtek jest mistrzem świata w pisaniu. (...) Umiejętność wpasowania się w wymogi rytmu, w wymogi muzyki, liczbę sylab jest u Młynarskiego fenomenalna. On ma po prostu komputer w głowie – no i przy okazji talent. Robi to genialnie.

Cierpiący na chorobę afektywną dwubiegunową artysta był stryjecznym wnukiem Emila Młynarskiego, bratem aktorki Barbary Młynarskiej-Ahrens. Córka Emila Młynarskiego i ciotka Wojciecha, Aniela, zwana także Neli, wyszła za mąż za słynnego pianistę Artura Rubinsteina. Dzieci Anieli i Artura Rubinsteinów, m.in. aktor John Rubinstein i fotografka Eva Rubinstein, są kuzynami drugiego stopnia Wojciecha Młynarskiego. W 2000 roku artysta został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, a w 2011 roku Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Był również laureatem nagrody Grand Prix 45. Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu (2008) i Diamentowego Mikrofonu w tym samym roku. W 2008 roku

Fundacja Kultury Polskiej uhonorowała go nagrodą Złotego Berła, rok wcześniej odznaczony został Złotym Medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis. Był również laureatem Nagrody Muzycznej Fryderyk Polskiej Akademii Fonograficznej (2011). Fenomen twórcy *Jesteśmy na czasach* polega na tym, iż słuchaliśmy i nadal słuchamy z wielką przyjemnością – zarówno jego piosenki liryczne, jak i atrakcyjne, genialne komentarze do współczesności. Utwory, które po prostu nie chcą się zestarzeć.

Wielkiej miary artysta zmarł po długiej i ciężkiej chorobie 14 marca 2017 roku.

**Andrzej Domagalski**